

Intifada pod Paryżem

Coraz bardziej poszerza się przepaść między „tamnymi tam” na przedmieściach wielkich miast, a resztą społeczeństwa. „Tam” – to inna cywilizacja, kraj bezprawia, nie podlegający prawom Republiki. Jest to kraj głównie arabski – przeczytaj esej Agnieszki Kołakowskiej z książki „Wojna kultur i inne wojny”.

Skutków podparyskich zamieszek, trwających już od tygodnia, w samej stolicy nie czuć; robimy zakupy, siedzimy w kawiarniach, życie toczy się normalnie (choć wczoraj w nocy podpalono 30 samochodów także w Paryżu). Ale czuć przecież i widać prawie na każdym kroku – nie tylko w Paryżu, lecz w całej Francji i w większości krajów Europy, z Anglią na czele – objawy choroby, która do tych zamieszek doprowadziła i której one też są objawem: bezkarne napady, kradzieże, włamania; banalizacja przemocy i bezprawia; strach i bezsilność policji i rządu wobec niechybnych oskarżeń o rasizm i dyskryminację; pobożne frazesy o „społecznym kontekście” przestępstw, o „ofiarach wykluczenia”, o winie społeczeństwa, elit, „pogardliwego” rządu, „brutalnej” policji itd. Spis podobnych frazesów jest długi; repertuar jest zawsze taki sam. W komentarzach we francuskiej prasie pojawiły się wszystkie co do jednego, niczym zaklęcia. Nie było to niespodziewane.

Jako tło tej historii niezbędny jest krótki spis tych – jakże dobrze nam znanych – objawów patologii francuskiego społeczeństwa. Można by je długo wyliczać, ale w odróżnieniu od pobożnych frazesów odzwierciedlają one naszą rzeczywistość; nasze życie codzienne dobitnie je potwierdza. Czytam, że we Francji tylko 31% ofiar przestępstw – napadów, kradzieży, włamań – składa skargę na policji. Nic w tym dziwnego, większość ludzi wie, że to strata czasu, że nic z tego nie wyniknie. Policja też do spisywania tego rodzaju przestępstw się nie kwapi, bo zależy jej na pokazaniu, że daje sobie radę i że w dzielnicy patrolowanej przez dany komisariat przestępczość spada; władzy zależy na polepszeniu statystyk i przekonaniu nas, że nastąpiła poprawa. Czytam też, że od początku roku w całej Francji spalono lub zdemolowano 9 tysięcy samochodów. W Lyonie od początku roku spalono ich „tylko” 800 – o 8% mniej niż w zeszłym roku, co uważa się za niebywale wprost pocieszające. W Strasburgu, w Dijon, w Marsylii jest podobnie. Większość podpalaczy to Arabowie, ale reguły poprawności politycznej nie pozwalają o tym wspominać: mówi się, że przestępcami są „młodzi ludzie”.

Spis głównych faktów o zamieszkach, ich wybuchu i przebiegu jest krótki, choć pozostało kilka niejasności. W zeszły czwartek w Clichy-sous-Bois dwóch nastolatków (biali? czarni? Arabowie? muzułmanie? nie wiadomo: tych informacji nikt nie podaje), widząc, że policja sprawdza na ulicy dokumenty, ucieka. Policja ich nie goni; potwierdziło to śledztwo ministerstwa spraw wewnętrznych. Wkrótce potem policjant przez radio zawiadamia posterunek, że dwóch młodych ludzi przeskoczyło przez mur i być może włamało się do pomieszczenia, gdzie mieści się transformator elektryczny. Kilka minut później zawiadamia, że spróbuje sprawdzić, czy rzeczywiście tam są. Ale młodzi ludzie zginęli, nim zdążył tam dotrzeć.

Nienawiść do policji – a także do strażaków, którzy z ponurą regularnością przyjeżdżają, by ocalić sprawców pożarów przez skutkami ich własnych czynów – jest ogromna

Wtedy wybuchły zamieszki. Zaczęło się oczywiście od oskarżeń, że śmierć dwojga młodych ludzi jest winą policji. Ich rodziny natychmiast oskarżyły policję o

„nieudzielenie pomocy w sytuacji zagrożenia” – oskarżenie, które rozpatruje teraz prokuratura. Odbył się marsz pamięci z udziałem burmistrza; 500 osób przemaszerowało przez Clichy-sous-Bois. Po czym bandy zamaskowanych „młodych ludzi” wyszły na ulice, zaczęły palić samochody (w ciągu ostatniego tygodnia spalono ich w sumie 1300), czasami nawet strzelać do zbliżających się policjantów i strażaków i rzucać koktajle Mołotowa. Wśród atakujących były dziesięcioletnie dzieci. W niedzielę wieczorem w Clichy-sous-Bois policja, starając się uporać z blokadą uliczną, rzuciła granat z gazem łzawiącym, który wylądował akurat przed meczetem. To zostało odebrane jako prowokacja i stało się powodem gwałtowniejszych rozruchów. W dzisiejszej gazecie (6 listopada) czytam, że w nocy z czwartku na piątek w samym departamencie paryskim podpalono 519 samochodów i 25 autobusów. Podpalano też, przy okazji, szkoły i przedszkola.

W czwartek wieczór miało też miejsce inne wydarzenie. 56-letni pracownik firmy instalującej latarnie przejeżdżał wraz z rodziną przez podparyską miejscowość Epinay. Wysiadł na chwilę z samochodu, by zrobić zdjęcie latarni. Napadła na niego grupa „młodych ludzi”, by mu wyrwać aparat fotograficzny. Po czym zatłukli go na śmierć na oczach

żony i córki. Trwało to 90 sekund. Wszystko nagrała kamera. W jego intencji nikt nie zorganizował marszu pamięci ani z udziałem burmistrza, ani bez niego.

W środę wieczór, w innej miejscowości pod Paryżem, „młodzi ludzie” napadli na autobus pełen ludzi. Większości pasażerów udało się zbiec – pod gradem kamieni, którymi wybijano szyby – ale jedna kobieta, inwalidka, poruszająca się o kulach, nie zdążyła wyjść i przewróciła się. Bandyci wdarli się do środka i zaczęli rozlewać benzynę – także na nią, leżącą na podłodze w przejściu. Po czym wszystko podpalili. Ocalił ją, w ostatniej chwili, kierowca autobusu – 36-letni Mohammed Tadjer.

Wszystko to dzieje się w odległości dziesięciu minut metrem od centrum Paryża.

Jeszcze kilka słów, też niezbędnych dla tła, o paryskich przedmieściach. W wielu z nich podpalanie samochodów jest normalną wieczorną rozrywką. W podparyskiej okolicy Seine-St.-Denis na przykład co noc płonie ich kilkadziesiąt. Nienawiść do policji – a także do strażaków, którzy z ponurą regularnością przyjeżdżają, by ocalić sprawców pożarów przez skutkami ich własnych czynów – jest ogromna. Strzały i koktajle Mołotowa są powszechne. Przemysłem lokalnym jest handel narkotykami, zwany potocznie „równoległą ekonomią”. (Podobnie, podpalanie samochodów nazywa się „wyrazem” tego lub owego – gniewu, rozpaczycy itp. – a nie przestępstwem, a podmiejskie obszary bezprawia – „wrażliwymi dzielnicami”. Nie wolno bowiem nikogo „stygmatyzować”; nie wolno mówić o barbarzyństwie, o przestępcach, o kryminalistach. Nie wolno też, rzecz jasna, mówić o Arabach). Policja nie odważa się temu zapobiec; do niektórych dzielnic boi się nawet

wejść. Handel odbywa się jawnie, na ulicy, w biały dzień. Bandy kontrolują wszystko. Od czasu do czasu policja znajduje w mieszkaniach całe arsenały ciężkiej broni.

Mieszkają tu, w wielkich, ponurych blokach, głównie Arabowie z północnej Afryki, w większości muzułmanie. Jest dużo świeżych imigrantów, ale większość tych „młodych ludzi” urodziła się już we Francji i ma obywatelstwo francuskie. Stopień bezrobocia jest zatrważający. Wszystko jest dotowane: państwo daje mieszkania, kliniki, szkoły, przedszkola, regularnie je odbudowując po podpaleniu. Państwo jest odpowiedzialne za wszystko.

Przed wszystkim jednak mieszkają tu, oczywiście, nie przestępcy, lecz normalni ludzie – biali, czarni, Arabowie, muzułmanie, imigranci, Francuzi; ludzie, którzy starają się normalnie żyć i pracować, posyłać dzieci do szkoły, zaszczepiać im jakieś wartości. To oni są ofiarami bezprawia, które tam panuje: to ich samochody i szkoły są podpalane, ich żony atakowane na ulicy, ich dzieci niszczone narkotykami.

Zamieszki, sterowane – jak się okazuje, choć nie budzi to zdziwienia – przez bandy zatwardziałych przestępców, organizowane też między innymi przez Internet i komórki, w szybkim tempie rozszerzały się na coraz to dalsze przedmieścia. W prasie niektórzy komentatorzy wyrażają zdziwienie, że wybuchły one na przedmieściach, które dotąd nie były specjalnie „gorące”. Jakby stało się to ni stąd, ni zowąd; jakby przedmieścia, w których kotłują się, w izolacji od reszty świata, bezrobotni imigranci z północnej Afryki i które nie były nigdy aż tak „gorące” – bo może palono w nich co noc zaledwie kilka, nie kilkadziesiąt samochodów? może policja, gdy się pojawiała, była witana

*Policja do niektórych dzielnic
boi się nawet wejść. Handel
narkotykami odbywa się
jawnie, na ulicy, w biały dzień.
Bandy kontrolują wszystko.
Od czasu do czasu w
mieszkaniach znajdowane są
całe arsenaly ciężkiej broni*

tylko kamieniami,
nie strzałami? może
handel narkotykami
nie dotknął jeszcze
większości dzieci w
szkołach? może w
ciągu dnia można
jeszcze było
względnie
bezpiecznie wyjść po
zakupy? – jakby takie
przedmieścia mogły
w nieskończoność

spokojnie istnieć w ignorowanym przez wszystkich barbarzyństwie i
bezprawiu. Przypomina to tych denerwujących klientów w
supermarkecie, którzy stoją przed nami w kolejce i w ostatniej chwili
zaczynają długo i mozolnie grzebać w torbach, szukając portmonetki,
jakby dopiero teraz ze zdumieniem odkryli, że trzeba płacić. A przecież
od dawna było wiadomo, że za dziesięciolecia pobłażliwości połączonej
z obojętnością, izolacją i nieprzemyślaną polityką imigracyjną kiedyś
trzeba będzie zapłacić.

Wiele jest też w prasie głosów potępiających „atak na meczet” jako
„niedopuszczalny” i uznających go za „zrozumiały”, a nawet
uzasadniony powód do dalszych zamieszek. W ich przekonaniu fakt, że
ofiary transformatora nie uciekały przed policją, wcale jej nie
rozgrzesza. Nic nie może jej rozgrzeszyć: policja powinna była „zadbać
o ich bezpieczeństwo”, a więc należy ją oskarżyć co najmniej o
nieudzielenie pomocy w sytuacji zagrożenia. Gdyby policjanci puścili
się w pościg, śmierć „młodych ludzi” tak samo byłaby jej winą, skoro to
w ucieczce przed nią włamali się do pomieszczenia z transformatorem.

Tak czy inaczej, policja musi być winna. Nikt nie odważy się temu zaprzeczyć; nikt nie powie, że „młodzi ludzie” może sami są sobie winni, jeśli włamali się do pomieszczenia z transformatorem (pokonawszy dwa wysokie mury z wielkimi napisami ostrzegającymi przed śmiertelnym niebezpieczeństwem). Pojęcie indywidualnej odpowiedzialności dawno już zanikło, zarówno wśród bandytów z przedmieść, jak wśród tych, którzy pobłażliwie ich usprawiedliwiają. To państwo – to znienawidzone państwo, prześladowca i symbol przemocy – ma odpowiadać za wszystko i jednocześnie wszystko dawać.

*Od dawna było wiadomo, że
za dziesięciolecia
pobłażliwości połączonej z
obojętnością, izolacją i
nieprzemysłaną polityką
imigracyjną kiedyś trzeba
będzie zapłacić*

Ci sami
komentatorzy
oburzają się, że
państwo pozwala na
bezrobocie i że nic
się dla ludzi z
przedmieść nie robi;
że istnieje cała
warstwa
społeczeństwa, dla

której nie ma „równości i solidarności”. Lecz jednocześnie popierają tę właśnie politykę ekonomiczną Francji, która do bezrobocia doprowadziła i która nie daje młodym z przedmieść jakiegokolwiek szansy na poprawę. Oni pierwsi potępiliby obniżenie ogromnych we Francji „społecznych kosztów” zatrudnienia, ekonomiczną liberalizację i wolnorynkowe reformy jako „brutalny neoliberalizm”, „dziki kapitalizm” itp. A tylko takie reformy, wraz ze zniesieniem przymusowego 35-godzinnego tygodnia pracy, mogłyby stworzyć tym

ludziom prawdziwą możliwość wyjścia z beznadziejnej sytuacji. Bezrobocie we Francji jest bezpośrednim skutkiem francuskiej polityki ekonomicznej.

Po drugie, problem nie w tym, że dla ludzi z przedmieść „nic się nie robi”. Przeciwnie, problem tkwi w tym, że „robi się” dla nich o wiele za dużo. Z wyjątkiem jednego: nie dopuszcza się mianowicie do tego, by sami mogli cokolwiek zrobić dla siebie. Wpompowywanie w przedmieścia pieniędzy, wieczne odbudowywanie spalonych budynków, wieczne tolerowanie bezprawia, które tam panuje, losu tych ludzi nie poprawi. Przeciwnie, coraz bardziej ich pogrąża. Nie mówiąc już o tym, że krzywdzi wszystkich innych, którzy tam mieszkają, ponieważ nie mają wyboru. To oni są tymi, dla których „nie ma równości”; to ich prawa są codziennie gwałcone. Im dłużej będziemy się wzbraniać przed przyznaniem, że ci, którzy podpalają, napadają, zabijają i handlują narkotykami, są przestępcami i barbarzyńcami, im dłużej będziemy powtarzać, że nie oni są winni, lecz – wszyscy razem, chórem: „klasa polityczna, rasizm, wykluczenie, dyskryminacja, represje, prześladowania i brutalność policji” – tym bardziej oddala się szansa na poprawę, aż w końcu bezpowrotnie zniknie.

Coraz bardziej poszerza się przepaść między „tamnymi tam” na przedmieściach wielkich miast, a resztą społeczeństwa. „Tam” – to inna cywilizacja, kraj bezprawia, nie podlegający prawom Republiki. Jest to kraj głównie arabski. Integryzm muzułmański nie zawładnął nim jeszcze, nienawiść do Francji nie jest jeszcze powszechna, ale jedno i drugie powoli się rozwija, po cichu, krzewione przez różne mniej lub bardziej jawne organizacje islamskie.

*Im dłużej będziemy się
wzbraniać przed przyznaniem,
że ci, którzy podpalają,
napadają, zabijają i handlują
narkotykami, są przestępcami
i barbarzyńcami, tym bardziej
oddala się szansa na poprawę*

Można by tę
przepaść pokonać,
postarać się skleić
francuskie
społeczeństwo – jeśli
nie jest już na to za
późno. Nie wystarczy
jednak skończyć z
pobłażliwością, karać
przestępców,

potępiać bezprawie, reagować na to, co się dzieje na przedmieściach, rozprawić się z handlarzami narkotyków, uczyć szacunku i odpowiedzialności. Nic to nie da, jeśli perspektywy dla ludzi z przedmieść się nie zmienią. A nie zmieniają się, jeśli nie zmniejszy się bezrobocie. Po to jednak, by się zmniejszyło, trzeba radykalnie zmienić francuską politykę gospodarczą – a tego nikt nie odważy się zrobić. Oznaczałoby to bowiem rozstanie się raz na zawsze ze słynnym „francuskim modelem społecznym”, do którego wszyscy, nawet na tak zwanej prawicy, są tak bardzo przywiązani – modelem, który wskutek sztywnych regulacji, absurdalnie wysokich kosztów zatrudnienia i ogromnej państwowej biurokracji wytwarza bezrobocie, zamiast je zmniejszać; tłumi przedsiębiorczość, zamiast ją wyzwalać i krzewić; zawęża horyzonty i możliwości, zamiast je rozszerzać; karze za sukcesy, zamiast za nie nagradzać; osłabia poczucie odpowiedzialności, zamiast je wzmacniać. Do jaskrawej przeciwności tego modelu nikt, za żadną cenę – dosłownie za żadną cenę, jak teraz widzimy – nie chce się przyznać. Tymczasem cena ta rozrosła się do surrealistycznych rozmiarów i z każdym dniem rośnie dalej.

Nicolas Sarkozy, który kiedyś oświadczył publicznie, że jedyne, co słynny francuski model społeczny świetnie umie wytwarzać, to bezrobocie (na co, *notabene*, usłyszał od Chiraca, że Europa po jego trupie stanie się liberalna), wprawdzie tutaj też wykazał odwagę: pozwolił sobie na użycie słów w rodzaju „bandyci” i „chuligani” (za co natychmiast został potępiony jako „twardy”, „niesprawiedliwy”, „pogardliwy”, „obrażający” itp., itd., i oskarżony, jak można się było spodziewać, o rasizm, brutalność, brak wrażliwości, brak poczucia solidarności, chęć wprowadzenia represji itd.). Wystąpił nawet w obronie (o zgrozo) prywatnej własności, zauważając, że podpalanie samochodów jest krzywdzące dla ich właścicieli (za co oczywiście też mu się dostało, bo jest to teza nie do przyjęcia dla marksizujących francuskich *bien-pensants*). Niewiele to jednak zmieni, jeśli nie uda mu się przeprowadzić niezbędnych reform gospodarczych. A to na pewno mu się nie uda, ponieważ prawie nikt go nie poprze. Ze strachu, przez inercję, z programowej niechęci do wszystkiego, co jest postrzegane jako „anglosaskie”, przez ślełą wiarę we francuski model, z lenistwa, z samozadowolenia. A także, w przypadku niektórych, z obawy przed utratą przywilejów, jakie sami czerpią ze skamieniałych francuskich regulacji rynku pracy. „Klasa polityczna” nie jest oczywiście odpowiedzialna za zamieszki i przestępstwa, ale można o wiele ją obwinić. Strach, ślepotą i brak woli spowodowały wreszcie intifadę, którą już dawno można było przewidzieć.

Agnieszka Kołakowska

Tekst napisany w 2005 roku. Pochodzi z książki „Wojna kultur i inne wojny” wydanej przez Teologię Polityczną

Agnieszka Kotakowska

Wojny kultur

i inne wojny

Teologia
Polityczna

